EDWARD JELINEK.

LISTY

O RZECZACH MORAWSKICH

PISANE PRZEZ CZECHA.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1894.

EDWARD JELINEK.

LISTY O RZECZACH MORAWSKICH

PISANE PRZEZ CZECHA.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1894.

Odbicie z „CZASU“. — Nakładem Autora.

I.

(Wstęp. — Nieznajomość Morawii. — Ogólna charakterystyka kraju i ludzi. — Czesi i Morawianie. — Wzajemny stosunek).

Dwa czy trzy lata temu posyłałem wam „Listy o społeczeństwie czeskim," w których starałem s wypowiedzieć zapatrywania moje i spostrzeżenia o naszem życiu. Uważałem, że listy moje dla przedmiotu swego budziły niejaki u was interes i już wtedy brała mnie ochota rozgawędzić się szczerze także o Morawii, której rozbudzone życie coraz więcej daje się spostrzegać, która coraz żywiej zwraca na siebie uwagę, a która — jeżeli mam prawdę powiedzieć — niesłychanie mało jest znana u was. Ogólnie biorąc — i nie weźmiesz mi za złe, jeżeli to prosto z serca powiem — o Morawii krążą wiadomości bardzo niedostateczne. Kto wie, czy wyrażenie *terra incognita* byłoby o niej przesadzonem.

Co gorsze i dziwniejsze, że ani my Czesi w królestwie czeskiem osiedli nie możemy pochlubić się zbytnią znajomością tego kraju, nawet ze wstydem przyznać się muszę, że bardzo często i dla

nas jest „sesterska Morawa“ *terra incognita.* Wydaje się nam nieraz, że ją znamy doskonale, bo ona jest przecież z kości i krwi naszej, wszystko nas łączy, a nic nie rozłącza; tymczasem w gruncie rzeczy znajomość głębsza stosunków jej należy do rzadkości.

Na pociechę jednak mogę powiedzieć sobie, że coś podobnego zdarza się i u was. Niezbyt wiele ludzi spotkałem w Królestwie i nawet w Galicyi, którzyby bliżej poznali Piastowski Szląsk pruski; niewiele spotkałem ludzi, co pojęcie mają o Kaszubach. Bodaj czy nie prędzej znajdziesz człowieka, co kilka razy przejeżdżał przez czeską Szwajcaryę, niżeli takiego, co mógłby się pochwalić, że zajrzał choć raz w życiu do Szwajcaryi kaszubskiej, w piękne okolice kartuskie. — A przecież koniec końców i to wasze strony, do których was pociąga niejeden motyw wielkiej waszej przeszłości. W tym duchu rozmawiano tego roku wiele w pewnem poufnem kółku w Zakopanem; miały te rozmowy dać inicyatywę do systematycznego zwiedzania ojczystych stron, w tym celu miało być nawet założone osobne Towarzystwo, ale nie wiem, jak tam sprawa dalej się prowadzi...

Wybaczcie, żem zaraz na wstępie wpadł w ton krytyki, chciałem tylko poniekąd wytłumaczyć to, co powiedziałem o nas czeskich królewiakach względem Morawii.

Dość, że niema co mówić, mało znamy Morawię; źle to, bo Morawia kraj nie ostatni i należy

się mu pod każdym względem więcej niż dotąd bezpośredniej uwagi. Wszak i wy, przejeżdżając nieraz do Wiednia, Paryża, Pragi i Bóg wie gdzie, z okien wagonu musicie widzieć te bogate, piękne okolice morawskie, te porządne miasteczka i wioski, te poważne kościoły i schludne domki, rozsiane jak mak na zielonych łąkach, wzgórzach i krajach ciemnych lasów. Powiesz może, że tam na stacyach wzdłuż pociągów chłopcy i dziewczęta do znudzenia wołają: *Frisch Wasser!* z akcentem niemile niemieckim, zamiast swojskiego: „świeża woda," ale i to są rzeczy zrozumiałe, jeżeli się tylko ma potrzebny do nich osobny komentarz.

Co do mnie, Morawia zawsze mnie zachwycała, mimo to, że w myśl naszych pojęć czeskich pod względem narodowym jeszcze niejedno pozostawia do życzenia. Jedynie nieprzeparte moje sympatye do stron polskich są przyczyną, żem się dotąd nie zabrał specyalnie do oglądania Morawii. Lecz wracając prawie co rok od brzegów Wisły, nigdy nie umiem sobie odmówić tej prawdziwej przyjemności, aby choć dzień jeden przepędzić zawsze na ziemi morawskiej. W taki sposób zajrzało się w ciągu lat do niejednego morawskiego miasta, wstąpiło się do niejednej wioski, zrobiło się tu i owdzie znajomości osobiste, słowem zebrało się trochę materyału do kilku bezpretensyonalnych listów, któremi Cię obecnie mam zamiar nawiedzić. Zresztą i w potocznem życiu jest się stale w dobrych stosunkach z Morawiakami, a literatura również dostarcza nie mało informacyj.

Nie szukajcie w tych kilku listach rzeczy sensacyjnych lub drażniących; pragnę tylko zanotować to i owo o wielce sympatycznym ludzie morawskim, coś o Bernie, Ołomuńcu i innych miastach, o niektórych instytytucyach szczególniej uwagi godnych itd, o tyle naturalnie, o ile mogłem się temu przypatrzeć zbliska. Nie zapominajcie przytem, że nam Czechom Morawia dała takich ludzi, jakim był wielki, znakomity Karol Žerotin, którego wspaniałą bibliotekę oglądałeś może w ratuszu wrocławskim; takiego europejskiej sławy pedagoga, jak Komeniusz; takiego, jak Palacký, olbrzyma narodowego. Nie zapominaj, że i tu na Morawach są arterye umysłowego naszego życia, że i tu wydaje swe kwiaty czeska literatura, że i tu ma czeska akademia swoich członków.

Zresztą na sąsiednią ziemię morawską pada też niejeden odblask dziejów polskich, jak to w dziejach narodów naszych krok za krokiem śledzić możemy.

Według ostatniego spisu liczyła Morawia 1,597.084 mieszkańców narodowości słowiańskiej (w liczbie tej 5.039 Polaków) i 664.168 Niemców. Żywioł niemiecki więc w bardzo znacznej jest mniejszości, co jednak zewnętrzny charakter Morawii nie zawsze uwydatnia. Zdarza się nierzadko, że miasta i miasteczka z ogromną większością czeską mają powierzchowność do tego stopnia niemiecką, że przez obcych przybyszów na pierwszy rzut oka uważane być mogą za niemieckie. Dopiero obejrzawszy się dokładniej, zbadawszy rzecz grunto-

wniej, a nie poprzestając na spożyciu obiadu na stacyi kolei żelaznej, widzi się, że miasto lub miasteczko owo w gruncie rzeczy jest jak najkompletniej czeskie. Jest czasami nie do uwierzenia, że literalnie tylko kilku ludzi nadaje miejscowości na zewnątrz charakter, który jest w wysokim stopniu nienaturalny, a zatem sztuczny. Czujesz mimowoli, że w tem morawskiem powietrzu dzieje się coś, co nie jest w porządku i co ludność, dochodzącą coraz więcej do świadomości narodowej, niepokoi i drażni. Rzecz naturalna. Faktu tego, bijącego jaskrawo w oczy, trudno nie uważać i trudno będzie przejść nad nim do porządku dziennego.

Bo trzeba wiedzieć, że lud czeski na Morawii jest nadzwyczaj zachowawczy; on nie jest tak gorączkowym, jak lud w Czechach, lecz wszystko, co się zowie swojskością, głęboko tkwi w jego duszy. U nas, w Czechach, żyło się zawsze z wysiłkiem i w naprężeniu, w sprawach politycznych i narodowych byliśmy zawsze z brzegu; u nich jakoś było spokojniej. Do dziś dnia biją u nas wszystkie fale życia mocniej i namiętniej. Ale zabierało nam też to życie gorączkowe i treść krwi naszej.

Również pod względem etnograficznym jest lud morawski więcej konserwatywnym, aniżeli lud w Czechach. Zwyczaje ludowe, śpiew ludowy, ubiory ludowe, słowem cała kultura ludowa mniej na Morawii jest dotkniętą wpływami nowożytnemi, aniżeli w Czechach. My w królestwie śpiewu ludowego niezadługo uczyć się będziemy tylko z nut, a ubiory oglądać będziemy tylko w mu-

zeach; na Morawie dotąd nietrudno o miłe śpiewki ludowe i pstro od wstążek i wyszywań wspaniałych ubiorów...

Niektóre okolice morawskie mają swoje wybitne cechy, cieszące się rozgłosem nawet w dalszych stronach. Tak jak w Polsce rozróżniają Krakowiaków, Mazurów, Kujawiaków, Sandomierzan i t. d., tak my na Morawie mamy naszych Horaków, Hanaków, Słowaków, Walachów. Co za pyszne typy, co za piękne kobiety! Horakowie, osiedli w północnej i północno-zachodniej okolicy Berna i Ołomuńca, jakoteż w zachodniej okolicy Znojmu, odznaczają się pracowitością, czystością i znaczną inteligencyą; Hanakowie, osiedli na t. zw. Hané (kraj między miastem Litovel a Kromieryżem i dalej), odznaczają się dowcipem, wesołością i uprzejmością. Okolice przez nich zamieszkałe są nadzwyczaj bogate i dobrobyt tam taki, że w innych okolicach zwykle się mówi: „Ba, żeby nam tak było dobrze, jak Hanakom!“ Słowacy, zamieszkali we wschodniej części Morawii, są ludkiem dobrodusznym, tęgim, przytem jednak łatwo dają się unosić wpływom uczuciowym. Walachowie w końcu siedzą w górzystych okolicach Nowego Jiczyna, są dobroduszni, prawi i przytem stateczni. Mowa ich jest niejako przejściem z języka czeskiego do polskiego, nawet i ubiór ich przypomina częściowo strony polskie.

Zaznaczyć tu wypada mimochodem, że w mowie Morawian rozróżnić można kilka dyalektów, rozu-

mie się dyalektów języka czeskiego. Niema więc języka morawskiego, tylko są dyalekty morawskie.

Jesteśmy jednem i tem samem w pełnem znaczeniu tego słowa. A jednak, mimo to że naturalna solidarność między Czechami i Morawiakami zawsze tkwiła w głębi u naszego ludu, przecież bywały dawniej okoliczności, które powodowały pewne wzajemne obgadywania. W gruncie rzeczy nigdy to nie było nic innego, jak niezawsze właściwe przywyknienie do wzajemnej krytyki społeczeńskiej, jakiej ślady znalazłem także i pomiędzy różnemi dzielnicami Polski.

Nie przeszkadzało to naturalnie nigdy, ażeby przy każdej sposobności jedność nasza najzupełniejsza świetnie się manifestowała. Wspaniale okazało się to tysiąc razy, szczególnie też przy sposobności otwarcia teatru narodowego i podczas wystawy jubileuszowej w Pradze, gdy z najodleglejszych stron Morawii nawet prosty lud całemi pociągami do stolicy naszej spieszył. Nikt nie opisze, z jakim zapałem się tu witano i z jakiemi wrażeniami ludek ztąd do swoich morawskich wiosek wracał.

Gdybym w reminiscencyach historycznych chciał sięgać wstecz, musiałbym naturalnie podnieść, że na fatalnej Białej Górze roku 1620 Morawianie do ostatniej chwili wytrwali na placu boju.

A my w królestwie? Mój Boże! Jeżeli się pali na Morawie jaka strzecha, to mamy takie uczucie, jakby się paliła nad własną głową. Rzecz to naturalna.

II.

(Berno morawskie. — Dawniej i teraz. — Reminiscencye na Szpilbergu. — Polacy. — Berno jako stolica kraju i jako miasto prowincyonalne. — Stanowisko i poczucie narodowe mieszkańców).

Lat temu kilkanaście — pamiętam bardzo dobrze — przyjeżdżając pierwszy raz do Berna, niezmiernie ucieszyłem na dworcu kolei patryotycznego stróża, przemawiając do niego po czesku. Skarżył się wtedy ten dobroduszny siwy człowiek, że z wyjątkiem ludu, rzadko kto odzywa się do niego po czesku. „Wszystko po niemiecku — mówił stróż — po niemiecku mówią i ci, którzy powinni mówić po czesku."

Wtedy Berno robiło na mnie wrażenie nadzwyczaj przykre. W hotelu dogadać się nie mógłem po czesku, bo nikogo tam nie było, coby umiał lub chciał mówić, w restauracyi i kawiarni dogadałem się tylko z biedą. Na zewnątrz miało miasto wygląd prawie całkiem niemiecki, napisy czeskie na szyldach bez wielkiej trudności było można zliczyć prawie na palcach. Błądziłem wtedy dzień czy dwa po ulicach Berna i Panu Bogu dzię-

kowałem za każde czeskie echo, które do mnie z ust przechodniów dochodziło. Lepiej ubrani ludzie rozmawiali między sobą prawie wyłącznie po niemiecku. Tak mi się przynajmniej wydawało. Nie mając wtedy w Bernie żadnych osobistych znajomości, uciekałem z miasta w najwyższym stopniu niezadowolony i rozgoryczony nawet.

Tak więc wyglądała stolica Morawii? Tak jest, tak się przedstawiała na pierwszy rzut oka człowiekowi, który nie miał sposobności zetknąć się bliżej z jej ludnością w jej życiu domowem. I później jeszcze nieraz słyszałem, jak mówiono o Bernie w sposób potwierdzający moje wrażenie.

Wobec tego spotkała mnie tem większa pociecha w bieżącym roku, gdy po tylu latach ponownie wstąpiłem do Berna. Zamierzałem zatrzymać się tam tylko godzin parę, chciałem następnym pociągiem ruszyć dalej, a zostałem wbrew oczekiwaniu trzy dni, co zupełnie wystarcza do dosyć szczegółowego poznania miasta.

Wiele rzeczy się tam zmieniło, niema co mówić. Tym razem już żaden stróż na dworcu kolei nie skarżył się przedemną, a i szyldów czeskich nad sklepami znalazłem niemało, w każdym razie niezrównanie więcej, niż przed laty kilkunastu. Do tego — dźwięki mowy czeskiej dochodziły do mnie ze wszystkich stron. Rozmawiali po czesku nietylko robotnicy w bluzach i dziewczęta w chustkach na głowach, ale także panowie i eleganckie panie.

Więc z ochotą puściłem się na wędrówkę. Naprzód wpadłem do księgarni p. Barwicza spytać

się, czy niema przewodnika czeskiego po Bernie. „A jakże! — brzmiała odpowiedź. — Właśnie wyszły dwa świeże.“ Przy tej sposobności zgłosił się do mnie młody jeden patryota, który znając mnie z Pragi i wróciwszy przed niedawnym czasem z wycieczki do Warszawy — łaskawie mi zaproponował swoje usługi, jako przewodnik po Bernie, co z prawdziwą przyjąłem wdzięcznością.

Więc wyszliśmy, nie tracąc czasu, na miasto. Od czego zacząć? Na Szpilberg! Wszak i wam Polakom nie jest to miejsce nieznane, musiał niejeden z was o niem przynajmniej słyszeć z opowiadań. Przecież w kazamatach Szpilbergu, wznoszącego się tuż nad miastem, wyrywało się tyle westchnień z przygnębionych piersi polskich!

Z historyi powiem tylko tyle, że Szpilberg był w XI i XII wieku siedzibą książąt berneńskich, później margrabiów morawskich. Potem przez długie lata rządzili tam burgrafowie i kasztelanowie, i zamek sam bronił się znakomicie nieraz przeciw Husytom, Szwedom i Prusakom. Od 1740 do 1855 r. Szpilberg był państwowem więzieniem i o kazamatach jego do dziś dnia mówi się ze zgrozą. Prócz innych pokutował tam baron Trenk i włoski poeta Silvio Pellico (1822—1830). Z Polaków siedziało tam skazanych na twierdzę mnóstwo politycznych przestępców, zwłaszcza w ciągu lat 1836—1848. Czaplicki w swoich „Pamiętnikach więźnia stanu“ (wydanie drugie w Krakowie 1872 r.) szczegółowo opisuje pobyt w Grajgórze czyli Hradczym kopcu, zamieszcza też tam

spis wszystkich Polaków, skazanych na więzienie na Szpilbergu. Autor ze szczególną wdzięcznością wspomina też o Morawiankach, które ówczesnym więźniom „ulgę niosły z rzadką wytrwałością i prawdziwem poświęceniem."

I oto, co się dziś zrobiło z tych ponurych miejsc? Dzięki Monarsze, który w roku 1862 Szpilberg miastu ofiarował, zmienił on się staraniem energicznego burmistrza d'Elverta, w wspaniały park. Nietylko tam przyjemne spacery, ale i widoki na miasto i dalsze okolice, o których ci przewodnik powie, że są, z małemi tylko wyjątkami, osiadłe ludem czeskim.

Mając ztąd u stóp naszych całe miasto, możemy kilka ogólnych słów powiedzieć o niem.

Berno, mimo tego, com o niem powyżej powiedział, nie jest wcale ideałem miast czeskich. Do tego jeszcze bardzo, bardzo daleko. Według ostatniego spisu ludności, ma Berno wraz z wojskiem 94,753 mieszkańców, w której to liczbie narachowano około 30,000 Czechów. Ale mówią ogólnie, że jest Czechów daleko więcej, czemu nie wierzyć niema żadnej przyczyny. Lecz i cyfra 30,000, w mieście stosunkowo niewielkiem, wcale nie jest podrzędna. Skoro w ostatnim czasie tyle narobiono hałasu z jedno-językowymi, to jest czeskimi napisami ulic w Pradze, gdzie jest Niemców tylko 12%, nadmieniam dla charakterystyki stosunków tutejszych, a zwłaszcza dla charakterystyki ratusza w Bernie, że w tej stolicy morawskiego kraju widzimy tylko tabliczki wy-

łącznie niemieckie. Tem bardziej to ciekawe, że jeszcze przed niewielu laty były na ulicach berneńskich tabliczki niemiecko-czeskie, z których napisy czeskie usunięto dopiero niebardzo dawno. Jednę taką niemiecko-czeską tabliczkę nawet jeszcze widziałem podczas pobytu mego w Bernie — zostawiono ją, niby jako pamiątkę.

Nic zapewne dziwnego, że oglądając Berno, zwracałem uwagę przedewszystkiem na rzeczy czeskie. Co Czesi w Bernie posiadają, zawdzięczają wyłącznie sobie i systematycznej swej pracy. Mają wprawdzie niewiele, brakuje im dużo, element niemiecki na całej linii górą, ale co mają, to jest zachęcający dorobek idealnych dążności i systematycznej pracy. I w Bernie można się przekonać, jak Czesi umieją się praktycznie brać do swoich rzeczy, nawet wśród najtrudniejszych okoliczności, jak systematycznie dążą do świadomego celu. O co im chodzi? O nic innego, jak by stworzyć sobie w zniemczonem mieście posterunki swego bytu, założyć fundamenta swej egzystencyi, zbudowane nie na piasku. Ogólnie biorąc, Berno pod względem narodowym czeskim do dziś dnia jeszcze niezmiernie dużo pozostawia do życzenia, lecz w szczegółach przedstawia wiele zjawisk miłych i pięknych.

Zostawiając na boku niesnaski czesko-niemieckie i stosunki u nas zawsze jednakowo nieprzyjemne i przykre, trzeba przyznać, że Berno jest miastem porządnem, a przytem bogatem. Nie jest to stolica w pełnem znaczeniu tego słowa, bo stolicą ziem

korony świętego Wacława jest zawsze jedna, majestatyczna Praga, ale jest to poważne centrum administracyi kraju, prowincyi. Berno ma kilka pięknych ulic, cechy nawet poniekąd wielko-miejskiej, ma mnóstwo domów, podobnych do pałaców, ma 11 kościołów katolickich, 10 kaplic, 9 klasztorów, 1 kościół ewangelicki, synagogę, ma prócz innych szkół niemieckie szkoły techniczne, seminaryum czeskie i niemieckie wyższe gimnazyum, ma kilka szkół fachowych, ma piękne muzeum, piękny teatr niemiecki, ma instytucye humanitarne, ma mnóstwo olbrzymich fabryk, z których towary rozchodzą się na cały świat, ma swoją prasę, ma bardzo bogatych ludzi, ma też uczonych, zwłaszcza czeskich, ma jeszcze to i owo, czem się pochlubić może, ale stolicą kraju tak, jak nią jest Praga i w tem znaczeniu, nie jest. — Mówiono kiedyś nawet o tem, czy w tym względzie Ołomuniec niema pozycyi wygodniejszej. To pewna, że w Bernie nie bije puls Morawii tak, jak bije w Pradze puls całego czeskiego narodu. Berno jest miastem przemysłowem i nudziłoby niezawodnie strasznie, gdyby w niem nie było ciekawych objawów kulturnych dążeń czeskich, mających szeroką podstawę w łonie całego kraju. Jako miasto niemieckie należałoby Berno niezawodnie do najpowszedniejszych miast na świecie, każde prowincyonalne małe miasto w państwie niemieckiem mogłoby z niem konkurować. Bo koniec końców niema tu dla żywiołu niemieckiego naturalnego gruntu do odznaczenia się. Czy

nie jest charakterystyczne, że tak wspaniały teatr niemiecki w Bernie ciągle i nieustannie tonie w kłopotach i deficytach? Wątpię bardzo, żeby się który prawdziwy Niemiec mógł zapalić dla niemieckości Berna, bo ona niema tych pierwiastków, które stanowią treść rzeczywistej swojskości. Usposobienie Niemców w naszych miastach w wielu względach przypomina mi usposobienie Niemców w niektórych zniemczonych miastach w Poznańskiem i w Prusiech Zachodnich. Jest to dziwna rzecz i warto zauważyć, że taki Niemiec, osiadły np. od wieków kilku w Prusiech Zachodnich, nigdy nie poczuwa takiego ciepłego i gorącego pociągu do tej ziemi, jak nasz człowiek. Ileż to razy słyszałem takich Niemców, obgadujących swoje tak zwane „własne gniazda,“ znajdujące się na gruncie słowiańskim, ileż razy słyszałem ich, jak się skarżyli na nędzotę miejscowości, w których się nawet sami urodzili. Inaczej zupełnie nasz człowiek. On ma takie ciepłe i gorące przywiązanie do tej ziemi, jakie wzbudza tylko głębokie poczucie odwiecznej swojskości. Ducha Niemców między nami osiadłych nie podtrzymuje miłość wielka i wspaniała do rodzimej ziemi, gdzie dla każdego kamienia i każdego kwiatka ma się pewne uczucie i przywiązanie uczuciowe — ale tylko idea polityczna i względy z nią połączone. Nasze przywiązanie, to poezya i jednocześnie wynik naturalnych okoliczności dziejowych i geograficznych; ich przywiązanie — to proza, połączona z cnotami nieraz arcyniepoetycznemi.

Nie trzeba się temu dziwić. Bo nasz Niemiec, jak wyjedzie za bramę takiego „swego“ miasta, odrazu odczuwa się kompletnie na obczyznie. Te czeskie wioski na Morawach, otaczające nieraz najbardziej zniemczone miasta, tak samo jak te polskie wioski koło zniemczonych miast w Prusiech Zachodnich, to przecież nie niemiecka ojczyzna i nie niemieckie powietrze, któreby można było opiewać niemieckiemi... poezyami?!

Zdaje mi się, że niniejsza moja kalkulacya nie jest chybiona. Pochlebiam sobie nawet, że trafię wam do przekonania. Zresztą darujcie, żem się obszerniej rozgadał na temat, który koniec końców i was, ze względu na podobieństwo stosunków w niektórych okolicach polskich, choć poniekąd zainteresować może.

Rozumie się samo przez się, że przez to, co tu wypowiedziałem, wcale się nie wypieram uznania, jakie mam dla istotnych zalet i cnót społeczeństwa niemieckiego, jako takiego.

Ale czas już pożegnać Szpilberg. Czas iść teraz do pysznego domu berneńskiej Besedy, gdzie niewątpliwie się spotkamy ze śmietanką miejscowego społeczeństwa czeskiego.

III.

(W domu „Czeskiej Besedy“ w Bernie. — Ład skład. — Organiczny porządek. — Dziennikarstwo i literatura. — „Matica Morawska.“ — Towarzystwo św. Cyryla i Metodego. — Biblioteki. — Szkoła dla pań „Vesna“).

Osobliwością Berna jest dom „Czeskiej Besedy.“ Wytworny to gmach, wybudowany 1872 roku nakładem kilkuset tysięcy guldenów. Z niego też wyniósłem najprzyjemniejsze Berna wspomnienia, a zarazem wiarę i przekonanie, że czeski żywioł w tem mieście nie najgorzej jest zorganizowany. Przydałby się gmach taki samej Pradze, gdyż praska Beseda mieszczańska pod niejednym względem nie wytrzyma porównania z punktem zbornym Czechów morawskich w Bernie. Przy zakładaniu „domów narodowych“ warto brać przykład z Berna.

Piękne to i miłe centrum towarzyskie i umysłowe; przedewszystkiem godne społeczeństwa, które nietylko ma swoje potrzeby, lecz i radzić sobie umie. Jest to instytucya w najwyższym stopniu sympatyczna, już dlatego samego, że

jest rzetelnem świadectwem organicznego porządku. — Zakład ten imponuje każdemu, a życie w nim daje bardzo korzystne pojęcie o pewnych przynajmniej stronach stosunków Czechów berneńskich.

Wchodzisz, wydaje ci się, że gmach oddano na użytek publiczny dopiero wczoraj, nie przed 20 laty. Wszędzie ład i skład, wszędzie czysto i porządnie, nigdzie odrapanych ścian lub innych oznak zaniedbania, które podróżującego po słowiańskich krajach tak często rażą. Chodzisz tu po białych schodach i dobrze oczyszczonych kobiercach. Niema wprawdzie przepychu, marmurowych filarów, ale jest komfort mieszczański.

Co się mieści w tym gmachu? Wszystko, co jest potrzebne w takiem miejscu zebrań. Jest przedewszystkiem obszerna, elegancka sala, po czesku „dvorana," gdzie odbywają się świetne koncerty, odczyty, zebrania, bale i t. d. Dawniej, dopóki w Bernie nie było osobnego czeskiego teatru, w tej sali i muza dramatyczna miała swoje gościnne schronienie. Również na piętrze znajdują się pokoje „cztenařského spolku" (czytelnia), gdzie rozłożone są do użytku prawie wszystkie pisma czeskie i niejedno zagraniczne słowiańskie. Na parterze znajduje się sala „Sokoła" berneńskiego z garderobami, dalej redakcye politycznych dzienników: *Morawskiej Orlicy*, wychodzącej już od 30 lat i *Hlasu*, wychodzącego od 44 lat; lokale „akcyjnej drukarni morawskiej" i „katolicko-politycznej Jednoty." W końcu należy się wzmianka

eleganckim lokalom restauracyjnym i ogródkowi, przyczem nie waham się podnieść, że dają tam pić i jeść bardzo porządnie, co mimo najpoetyczniejszego usposobienia człowieka nie jest rzeczą obojętną i podrzędną w punktach zbornych tego rodzaju.

Słowem, dom Besedy robi wrażenie bardzo dobre, spełnia on zadanie swoje znakomicie. Dobrze tam wszystkim gościom, bo są u siebie i czują się u siebie.

Stworzenie takiego domu było dla Czechów berneńskich istotną koniecznością i jest prawdziwem dla nich dobrodziejstwem. Nic więc dziwnego, że schodzą i zbierają się tam wszyscy: Staroczesi i Młodoczesi, wyżsi i niżsi urzędnicy, profesorowie, redaktorowie, literaci, mieszczanie, przemysłowcy, nawet i wojskowi. Nierzadko zjawi się tam też charakterystyczna jaka postać z prowincyi. Mówiono mi wreszcie, że jak się chce zobaczyć ładne panie morawskie, to trzeba iść na koncert lub zebranie do Besedy. To, co sam widziałem, potwierdza to zdanie.

Nadmieniłem wyżej, że w domu Besedy mieszczą się redakcye dwóch dzienników politycznych i że zbiera się tam również świat literacki. Wszak chlubić się on może takimi uczonymi, jak archiwaryusz Wincenty Brandl i Franciszek Bartosz, o których pracach nieraz pochlebne wzmianki czytałem też w pismach polskich. Niestety nie tu miejsce na szczegółowy rozbiór działalności uczonych i pisarzy; mogę tylko kilku ogólnemi słowy wskazać na niektóre objawy ruchu literackiego na Morawach.

Prócz pism politycznych wychodzą w tym kraju aż cztery pisma literackie (!), mianowicie: *Hlidka literárni* (pod redakcyą dyrektora papieskiej drukarni w Bernie), *Obzor* (red X. Wl. Šťastný), *Literárni Listy* (red. Fr. Dlouhý) i *Niva* (red. Dr Rypáček). Ciekawą cechą pism literackich, na Morawach wychodzących, jest, że ze szczególną ochotą uprawiają krytykę, o której warto będzie napisać kiedyś słów parę osobno.

Z naukowych pism należy wymienić kwartalnik *Časopis matice Moravské,* który powołany został do życia przez Brandla i Bartosza. Co do „Maticy Morawskiej" podnoszę, że instytucyi tej zawdzięcza literatura czeska cały szereg poważnych i specyalnych publikacyj morawskich n. p.: Bartosza *Moravská dialektologie* i *Národni písně moravské* Brandla: *Zyciorysy Pawla Józefa Šafařika Karola Jar-Erbena* i *Józefa Dobrowskiego, Listy Karola z Žerotina*; Důdika: *Dzieje Morawii* Matzenauera: *Słownik obcych słów w językach słowiańskich* itd. Staraniem „Maticy Morawskiej" wyszła też obszerna antologia poezyi słowiańskiej w tłumaczeniach czeskich, zestawiona przez Fr Wymazala, w której dział polski bardzo poważnie jest przedstawionym.

Wielce rozpowszechnione są zwłaszcza wydawnictwa drugiej instytucyi morawskiej: „Dědictví sv. Cyrylla a Methoděje," która wydaje książki religijne i inne dla nauki i zabawy. Świetne opowiadania Kosmáka pod tytułem: *Kukátko,* rozpowszechniono w 43.000 egzemplarzy.

Prócz tego wychodzi w Bernie i na Morawach kilka pism fachowych, a także i po za Bernem znajdują się drukarnie, jak w Ołomuńcu, Kromieryżu, Telczu i t. d., z których na światło dzienne wychodzi niejedna książka czeska. Że i czeska książka, w Czechach drukowana, ma na Morawach pokup, rozumie się samo przez się.

Do tego dodać wypada, że Berno ma kilka bibliotek wcale nieubogich, w których tu i owdzie wypożyczyć sobie można nawet i książki polskie, zwłaszcza dzieła Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Brodzińskiego, Kraszewskiego.

Przy tej sposobności zaznaczyć muszę, że społeczeństwo morawskie żywo się interesuje sprawami słowiańskiemi; mnóstwo tam ludzi, co starają się poznać inne języki słowiańskie, zwłaszcza polski. Nietrudno spotkać się tam z ludźmi, co mają bardzo dobre pojęcie o polskiej literaturze, z którą się zaznajamiają bądź z tłumaczeń, bądź z oryginałów. Co do poglądów Morawian na sprawy słowiańskie, mógłbym tu powtórzyć to, com powiedział w „Listach o społeczeństwie czeskiem.“ Nie zgodzisz się czasami z ich poglądami i pojęciami, lecz nie odmówisz im dobrej wiary. Zresztą rozumie się samo przez się, że nie wypada brać na karb ogółu objawów, które koniec końcem nic, albo bardzo mało mają do czynienia z ogółem.

Wśród inteligencyi kobiecego świata morawskiego nietrudno znaleść dzielne patryotki, gorąco przywiązane do kraju i sprawy narodowej. Pięknym, powiedziałbym wspaniałym tego objawem, jest

Towarzystwo czeskich pań „Vesna“ w Bernie. Jest to przedsięwzięcie prywatne, które rozwój swój, jak wiele innych instytucyj w Czechach i na Morawie, zawdzięcza inicyatywie i szlachetnej gorliwości jednostek.

Otóż „Vesna“ założona 1870 roku, miała pierwotnie być Towarzystwem śpiewackiem, lecz już dwa lata później zmieniła się w Towarzystwo w rodzaju szkoły, gdzie odbywały się przedewszystkiem wykłady języka czeskiego. Jednocześnie urządzano odczyty, mianowicie cykl z dziejów czeskich i z zakresu pedagogii. Zarazem urządzono czytelnię dla pań, co dało pobudkę do założenia szkoły literacko-deklamacyjnej. Instytucya rozwijając się nieustannie, przybrała 1886 roku tytuł „Ženský vzdělávací a výrobní spolek Vesna“ i szerszym jej celem stało się: kształcić i wychowywać dorastające czeskie dziewczęta. Temu celowi poświęcił cały szereg poważnych osób swoją pracę i siły darmo. Rychło „Vesna“ berneńska uzupełniła swój program, wstępując w ślady wybornego „spolku wyrobniho“ w Pradze i stała się przez to kompletną praktyczną szkołą dla kobiet czeskich na Morawach. Obecnie ma „Vesna“ własny gmach, dzięki głównie pani Julii Kusej, która na cele „Vesny“ ofiarowała 20 tysięcy złr. Protektorem szkoły jest wzmiankowany już uczony Fr. Bartosz, dyrektorem Fr. Mareš, grono nauczycieli doszło do liczby 18 mężczyzn i kobiet, słuchaczek było w zeszłym roku razem 314.

Nic więc dziwnego, że oglądałem gmach „Vesny“ w ulicy Udolni Nr 8-my z wielką pociechą. Wszystko tam porządne i piękne. Niema wątpliwości, że zasłużona ta instytucya, tyle sympatyczna zaraz na pierwszy rzut oka, wielce się zasłuży ogólnej sprawie narodowej na Morawach. Wychowanki napajane tam duchem zdrowym i moralnym pod względem narodowym, kształcone sumiennie w kierunku wszystkich zadań życia, wychodzą ztamtąd z ideałami szlachetnymi kwalifikacyą praktyczną. Nawiasem dodam tylko, że świetne wyszywania ludowe morawskie, o których na swojem miejscu nie omieszkam powiedzieć słów kilka, w szkole tej jak najodpowiedniejsze znajdują uwzględnienie. Podziwiałem szkolne wyszywania, robione podług wzorów motywów ludowych.

Cóż jeszcze powiedzieć o Bernie? Ma ono i swój teatr czeski, skromny, lecz jest on tylko tymczasowym. Będzie z czasem i lepszy. Trupa artystów dramatycznych niezła; w zimie dają przedstawienia w Bernie, w lecie jeżdżą po prowincyi, z niemałem powodzeniem dają przedstawienia gościnne w mniejszych miastach. Więc manipulacya mniej więcej taka, jak w teatrze poznańskim. Trupa tutejsza zaznajamia nieraz publiczność morawską z sztukami polskich autorów.

Ale pilno mi już przejść do Ołomuńca, sławnego Ołomuńca!

IV.

(Ołomuniec. — Drobiazgi historyczne. — Stosunki z Polską. — Okolica czeska i jej wpływ na miasta. Paralela. — Wystawa przemysłowa w Ołomuńcu. — Národni dom. — Dr Żaczek. — Inne wybitne osobistości. — Fakultet teologiczny i jego frekwencya. Arcypasterz i arcybiskupstwo. — Wspomnienie o ś. p. biskupie Jirsiku. — Kanonik hr. Pötting i hr. d'Orsay. Biskup Bauer. — Hradisko. — Józef Dobrowsky).

Z miast morawskich najzaszczytniejsze w historyi stanowisko zajmuje Ołomuniec. Już w VII w. wspominany jest jako osada słowiańska. W 999 r. Bolesław Chrobry zawojował kraj i miasto, a 1028 roku dostał się Ołomuniec napowrót pod berło czeskie i stał się odtąd prawie jednocześnie punktem środkowym wszelkiego ruchu umysłowego na Morawach. Sławne biskupstwo założono 1063 roku (arcybiskupstwo datuje się od 1778 r.). Roku 1241, po porażce Tatarów, mianował król czeski Wacław, Ołomuniec głównem miastem Moraw; r. 1352 otrzymało miasto prawo magdeburskie, a w dwieście lat później uniwersytet. Po wojnie szwedzkiej miasto upadło; 1640 roku liczyło ono

30.000 mieszkańców, 1650 r. liczyło już tylko 6000 mieszkańców. W tym czasie przeniesiono też sejmy krajowe do Berna. W 1848 roku rozstrzygały się losy ludów austryackich w Ołomuńcu, gdzie też przez pewien czas rezydował teraźniejszy nasz monarcha (do marca 1849 r.).

Już z tych skromnych szczegółów historycznych widać, że Ołomuniec w przeszłości odegrał bardzo poważną rolę i sława jego rozchodziła się daleko. Figuruje on nawet na jednym obrazie nad grobami książąt Pomorskich, w Oliwie nad zatoką gdańską, gdzie inny znów obraz przypomina wdzięcznie hojność czeskiego i polskiego króla Wacława. Ale Ołomuniec w bardzo licznych i rozmaitych był stosunkach z Polską i tutaj tylko nawiasem napomknę, że wasz Bartosz Paprocki z Paprockiej Woli (1539—1614), który i staroczeskie piśmiennictwo obdarzył niejednem dziełem, właśnie w Ołomuńcu i jego okolicy przepędził niejeden dzień swego pracowitego żywota.

Ołomuniec do dziś dnia godnie przypomina swoją piękną przeszłość, a jeżeli miasto to nie jest obecnie na zewnątrz tyle czeskie, jakby można przypuszczać, winne temu znów te specyalnie morawskie stosunki, o których, zdaje mi się, już poprzednio uczyniłem wzmiankę. Według ostatniego spisu ludności, ma Ołomuniec 19.323 mieszkańców, w tej liczbie oficyalnie zgłoszonych Czechów tylko 6.194 (i 471 Polaków).

Stosunek więc dosyć niekorzystny, tem bardziej, gdy się zważy, że Niemcy olomunieccy to

są bogacze. Wobec tego mogłoby się wydać, że sytuacya żywiołu czeskiego w takim Ołomuńcu bardzo jest niewygodna. Jest ona niewątpliwie trudną, lecz jest jedna pomyślna okoliczność, która pewne miasta morawskie w prawem znaczeniu tego słowa „ratuje.“ Mianowicie cała okolica Ołomuńca jest z małemi wyjątkami czeską, a co najwięcej znaczy, okolica ta jest bogata, każda wioska w pobliżu Ołomuńca tak wygląda, jakby się składała nie z chat wiejskich, lecz z dworów. Na minach tych ludzi, co z okolicy od rana do wieczora przyjeżdżają do miasta w powozach nieraz eleganckich, znać wpływ powietrza hanackiego.

Powiedział mi ktoś dowcipnie, że Ołomuniec robi wrażenie niemieckiego miasta tylko wieczorem, gdy na spacer wychodzą żydzi. Za to w niedziele i święta zalewa miasto żywioł całkowicie czeski, również i w dniach targowych. *)

Gdy w 1884 roku gromadnie jechaliśmy oglądać Kraków (było nas wtedy 1400 Czechów), zatrzymaliśmy się po drodze w Ołomuńcu kilka godzin. Wypadało odwiedzić kochanych Morawia-

---

*) I u was bywa tak czasami. Byłem na przykład trzy razy w Toruniu, zawsze w powszednie dni i zawsze mi wydawał się Toruń zatopionym w morzu niemieckiem. W tym roku wpadłem do Torunia przypadkiem w niedzielę, i nie mogłem poznać miasta. wszędzie brzmiał język polski, nawet w sklepach, a przy pomniku Kopernika było już tak, że ani odejść się nie miało ochoty.

ków, o co sami prosili. Powitano nas tam z niebywałym zapałem, miasto całe było na nogach, z okien padał na powitanie deszcz kwiatów. Byłem wtedy zdumiony, bo Ołomuniec tak nas przyjął, jakoby tam wcale nie było Niemców. Więc pytałem, co to znaczy? A oto jeden z miejscowych patryotów powiedział: „Kiedy witają w Ołomuńcu gości swoich Niemcy, to im nie pomaga nikt, wita tylko garstka mieszkańców Ołomuńca, lecz gdy my witamy, to przyłącza się do nas jednomyślnie cała okolica.“ I tak było rzeczywiście; jak z ziemi wyrosły wtedy tłumy ludu, przyjeżdżano konno i powozami, z kobietami i dziećmi. Wypadli formalnie, jak Kozacy z koszów ukraińskich, jak nawałnica, ku wielkiej naszej pociesze. Przyjechaliśmy tedy do Krakowa w podwójnie dobrym humorze.

Będąc w zeszłym roku w Ołomuńcu, zauważyłem na rogach ulic ogromne plakaty w niemieckim języku, zwiastujące, że w Ołomuńcu istnieje w tym roku prowincyonalna wystawa przemysłowa miejscowa. Zachciało się Ołomuńczanom zrobić coś na sposób jubileuszowej wystawy w Pradze. Bardzo piękna myśl. Idąc na plac wystawy (bo wszystko trzeba widzieć), spotykam znajomych. „Gdzie pan idziesz?“ Odpowiadam: „Na wystawę!“ „Daliśmy hasło nie chodzić, więc nikt z nas Czechów nie powinien iść!“ brzmiała odpowiedź. „A dlaczego daliście hasło takie?“ — „Bo nadali wystawie charakter wyłącznie niemiecki; przecież pan widział, że na ulicach są plakaty wyłącznie

niemieckie... Nie chcą widocznie, żeby tam Czesi chodzili.“ — „To co innego.“ — „Jeżeliby pan poszedł, staćby się mogło, że ktoś zdenuncyuje w gazetach... Nam potrzeba karności...“

Mimo to ogromnie zaciekawiła mnie wystawa ołomuniecka (bo już wtedy nosiłem się z myślą pisania niniejszych listów morawskich) i sądząc nadto, że wyjątkowe cele tłumaczą mnie, postąpiłem wbrew karności narodowej. Poszedłem! A rad byłem, bardzo rad, bo miałem sposobność naocznie się przekonać, na jakich nogach stoi Germania w Morawach. Wystawa niezła była, na wystawionych rzeczach znajdowała się niezawodnie niejedna kropelka potu czeskiej pracy i umiejętności — lecz reszta — skandal! Jeżeli w tej chwili na wystawie prócz stróżów, kelnerów i t. p. było osób dziesięć — to wiele. Pustki tak okazałe, że aż strach mnie brał. Prawda, byłem w czasie przedobiadowym, ale wytłumaczono mi, że tak bywa przez całe dni z wyjątkiem chwil, gdy przygrywa muzyka. Szukałem człowieka w celu powzięcia pewnych informacyj i znalazłem w końcu szczęśliwie takiego w osobie jednego z nudzących się niezmiernie wystawców. Był to Niemiec, przemysłowiec, człowiek bardzo porządny i zdrowych poglądów, jakich nie rzadko przecież spotkać można w społeczeństwie niemieckiem. Więc rozgadałem się z nim. „Powiedz mi pan, co to znaczy, że tutaj są takie pustki?“ — „A to masz pan tak przez całe dni, i rzecz to naturalna; ani planów, ani katalogów po czesku nie drukowali,

wszystko tylko po niemiecku z jawną tendencyą lekceważenia czeskiego elementu, więc nie dziw, że Czesi tu nie chodzą; nie chodzą z miasta, tem mniej z prowincyi, która jedynie mogłaby wystawę zapełniać, gdyż miasto samo na takie przedsiewzięcia jest za małe. Garść fanatyków nie ratuje nas... „Das ist das Unglück, dass mann bei uns in eine jede Schaubude Politik und Tendenz hineinträgt...“ Nie mógłem i nie miałem ochoty przeczyć takiemu wyjaśnieniu rozsądnego Niemca. Bądź co bądź to pewna, że zeszłoroczna wystawa ołomuniecka mogła mieć niezrównanie lepsze powodzenie, gdyby na niej obchodzono się z Czechami tak przynajmniej, jak obchodzono się na jubileuszowej wystawie w Pradze z Niemcami. Nie mieli wtedy Niemcy żadnej przyczyny skarżyć się na Czechów, dlatego też rozsądni Niemcy chętnie na wystawę przychodzili.

Niema tedy wątpliwości, że czeskie otoczenie zniemczonych nawet miast morawskich ma ogromne znaczenie i to tak dalece, że gdyby inteligencya czeska w miastach nawet nie była nic warta, wioska nie daje upaść czeskiemu charakterowi, bo ztamtąd płynie sok żywotny, silny i zdrowy.

Obejrzawszy wystawę, pospieszyłem na obiad do Národniho domu (ulica Czeska Nr 21). Jestto instytucya zupełnie podobna do domu Besedy czeskiej w Bernie, o którym w jednym z poprzednich listów rozpisałem się obszerniej. Národni dom w Ołomuńcu kosztował okrągło 400.000 złr. podczas budowania jego panował taki zapał, że

dzielni Hanacy materyał budowlany darmo przywozili na wozach, ozdobionych wieńcami i girlandami. Jak w Bernie, tak i w Ołomuńcu jest Dom Národni okazałem centrum czeskiego życia. Sala zebrań i balowa pyszna. Na parterze znajdują się obszerne i eleganckie lokale restauracyjne i kawiarnia, gdzie gazet tyle, jak w pierwszorzędnej kawiarni w Pradze. Wydaje ci się, że jesteś tu w jakim lokalu wielkiego miasta. Przy obiedzie nawet o miejsce trudno, ruch i życie jak na dworcu kolei przed odjazdem pociągu.

Nim czytelnika dalej wprowadzę, muszę przypomnieć, że właśnie w Domu Národnim mieszka Dr Žáczek, znany poseł czeski, wyborny mowca i znakomity patryota, wielce zasłużony około sprawy czeskiej na Morawach, zwłaszcza w Ołomuńcu. Piękna to postać; miła atmosfera panuje za jego progami. W Ołomuńcu przebywa zresztą cały szereg wybitnych osobistości, znanych dobrze i szerszej publiczności czeskiej. Tak naprzykład familia J. Wankla, archeologa, znanego też i w Krakowie i współ-założyciela uwagi godnego „Patryotycznego muzeum ołomunieckiego"; czcigodny wikaryusz i były poseł Ig. Wurm, kompozytor Neszwara, dostojny wikaryusz Henryk Geisler, prezes Towarzystwa „Zerotin" i inni. Z kobiet wymienić należy dzielną patryotkę panią Czernochową, która przez lat 30 energiczną ręką sięga w narodowe sprawy czeskie. Tam także mieszka pani Mirosława Puochàzkowa, redaktorka sympa-

tycznego pisma dla kobiet morawskich *Czeská hospodynie* i t. d.

Mówiłem na początku listu niniejszego, że Ołomuniec był kiedyś też c. k. miastem uniwersyteckiem. Jest niem po części dotąd, gdyż tam istnieje do dziś dnia fakultet teologiczny (nie seminaryum tylko, lecz fakultet). Należy do niego niejako dawna biblioteka uniwersytecka (77.000 tomów), bogata w cenne wielce rękopisy (2.500), białe kruki i inkunabuły (1.000). Ów fakultet teologiczny i frekwencya jego najjaskrawiej ilustruje to, com powiedział o ogólnych stosunkach narodowościowych na Morawach. Wszystkich słuchaczów na fakultecie teologicznym w Ołomuńcu było w jednem z ostatnich lat razem 231, z tych było Niemców 26 (!) — Czechów 206 (!) i Polaków 9. Czegóż chcecie więcej?

Ale teologia prowadzi nas wprost do pałacu najdostojniejszego arcypasterza, któremu i tak należy się pierwszeństwo, mówiąc o Ołomuńcu. Wszak jest on następcą św. Metodego. Mniej więcej przed rokiem, po śmierci arcybiskupa księcia Fürstenberga zaszedł w ołomunieckim pałacu arcybiskupim niezwykły wypadek. Wbrew wszelkim pogłoskom i nadziejom wybrano na tron arcybiskupi kanonika miejscowego, Dra Teodora Kohna. — Ogromna to była niespodzianka dla Morawian i dla Czechów. Zdarzeniem tem zajęła się i prasa europejska. Bo syn właściciela skromniutkiego domu zajezdnego w nieznacznej wiosce morawskiej nagle wyszedł na dygnitarza kościelnego

wielkiej powagi. Wieść o tem szła błyskawicą po całym kraju, mówiono o niej długo wszędzie. Można sobie wystawić, jakie wrażenie robiło, gdy ojciec staruszek i matka w ubiorze wieśniaczki przyjechali do Ołomuńca przywitać się z synem arcybiskupem. Wtedy oczekiwał arcypasterz rodziców swoich na dworcu kolei, pocałował ich w ręce i odwiózł w przepysznej karecie do rezydencyi swojej. Byli oni wtedy pierwszemi osobami w pałacu. A piękna to postać nowy arcypasterz. Twarz niesłychanie inteligentna o oczach przenikliwych, lecz spokojnych. Wygląda na uczonego i pełen jest powagi.

Arcybiskupstwo ołomunieckie jest jednem z najbogatszych, łączy się z niem bowiem roczny dochód pół miliona guldenów. Gdy jedziesz przez Morawy, to co chwila pokazują ci ogromne przestrzenie, będące majątkiem ołomunieckiego arcypasterza.

W takich okolicznościach nie dziw, że osobiste usposobienie dostojnika wobec rozmaitych spraw kraju i stanowisko jego nie jest uważane za rzecz podrzędną. Miliony jego rodaków, rozrzuconych po Morawach i Czechach patrzą na niego z głębokiem poczuciem świadomości narodowej. Syn tych staruszków, żyjących tam w idylicznej wiosce morawskiej, wychowany na łonie matki, która przemawiała doń tylko czeskiemi słowy i śpiewała czeskie pieśni! Kto odczuć może głębiej prawdziwe zadanie chrześciańskie? Kto lepiej znać i sprawiedliwie pojąć może potrzeby ludu, powierzone-

go jego opiece? Na to odpowiadać zosobna byłoby zbytecznem. Nadmieniam tylko, że niedawno właśnie odebraliśmy pocieszającą z Moraw wiadomość, że arcypasterz ołomuniecki, uwzględniając trudne stosunki, w jakich znajduje się ludność czeska w okolicach Morawskiej Ostrawy, założyć ma w Witkowicach czeską szkołę dla dzieci tamtejszych rodziców czeskich.

Mimowoli nam się tu przypomina uwielbiany biskup budziejowicki, ś. p. Jirsik, jeden z najpopularniejszych ludzi w Czechach. To jeden z tych, co umieli w krajach czeskich łączyć w harmonjną całość zasady Kościoła katolickiego z przewodnią ideą narodową. Uwielbiano go w mieścinie rodzinnej Jana Husa (jak osobiście się przekonałem) tak samo, jak w seminaryum. Nie było uczciwego Niemca, coby przed biskupem Jirsikiem nie schylił głowy. Bo każdy wiedział, że wszystko, cokolwiek biskup Jirsik robił, pochodziło z tej wielkiej i wzniosłej miłości chrześciańskiej, która jest ozdobą ludzi i zbawieniem świata.

U boku arcybiskupa ołomunieckiego stoi kilku dostojnych kanoników rezydencyjnych, którym należy się osobna wzmianka. Humanistą w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa jest przezacny staruszek, kanonik hr. Pötting, który z rzadką gorliwością wspierał i wspiera sprawy czeskie. Jemu głównie zawdzięczamy, prócz innych dobrodziejstw, założenie t. zw. „Zakładu hr. Pöttinga“ (wyższa szkoła dla dziewcząt). Również kanonik, hrabia

d' Orsay wspiera kulturne dążenia czeskie (jest on prezesem „Patryotycznego Muzeum“ w Ołomuńcu).

Czechami między kanonikami są zresztą także Dr Simerský i Dr Kopp.

Mówiąc o klerze, należy się też przypomnieć Najdost. biskupa Bauera w Bernie, który już kilka razy zaznaczył energicznie swe sprawiedliwe stanowisko wobec sprawy ludowej na Morawach.

Zatrzymałem się nieco, mówiąc o stanowisku dostojnego duchowieństwa naszego. Bo też niemałem jest znaczenie jego w czeskich krajach. W rękach duchowieństwa spoczywa niewątpliwie nietylko zarząd spraw religijnych, lecz bezpośredoio rozstrzygający wpływ moralny. Tam, gdzie ludy, jak w Czechach i na Morawach, przeszły przez wiek wielkich przewrotów politycznych, tam osobiste narodowe stanowisko przedstawicieli Kościoła, zważywszy ogólną oświatę tego ludu, nie może być bez wpływu. Zresztą na Morawach otacza lud duchowieństwo swe prawdziwem uszanowaniem.

Nie weźmie mi nikt za złe, jeżeli znów postawię pewną paralelę między ludem polskim i czeskim. Otóż kto śledzi przebieg ostatnich objawów życia politycznego na Szląsku pruskim, kto czytał między wierszami *Katolika* bytomskiego, ten musi przyznać, że tam stanowisko pewnej części duchowieństwa względem ludu bardzo nieprzyjemną przedstawia perspektywę. Dlaczego? Taki górnik bytomski domaga się z całą świadomością

swego poczucia, ażeby jego duchowny, do którego chce być przywiązany całą duszą, był tak samo dobrym Polakiem, jak on. Jeżeli nie jest, jeżeli nawet działa wbrew zasadzie narodowej — jakie może być usposobienie ludu, jaki może być w danym razie wpływ moralny? Teraz proszę sobie wyobrazić, jak u nas w Czechach i na Morawach być dopiero musi, skoro lud nasz bądź co bądź ma pewne tradycye czasów husyckich i czasów Czeskich Braci!

Na zakończenie niech mi wolno będzie zanotować jeszcze kilka uwag ogólnych. W Ołomuńcu wychodzi ośm pism czeskich; cztery polityczne *Nášzynec*, *Pozor*, *Mir*, *Selské listy*, jedno pedagogiczne *Komenský*, organ „vlasteneckého muzeum“, jedno religijne *Posvátná kazatelna* i jedno pismo dla kobiet *Domácí hospodynie*. Niemieckich pism wychodzi w Ołomuńcu tylko trzy.

Na zewnątrz Ołomuniec czyni wrażenie bardzo korzystne, odpowiednie swej przeszłości. Porządny jest i czysty. Reprezentacya miasta jest niemiecko-liberalna. Życie towarzyskie czeskie od czasu do czasu dobitnie zaznacza się w Ołomuńcu. Głośne są n. p. koncerty Towarzystwa „Żerotin“. Dawano tam nawet miejscowemi siłami czeską operę *Prodana nevěsta*. Czeska centralna „Záložna obczanska“ (kasa zaliczkowa) ma w obrocie około 6 milionów złr. Zresztą o stronie finansowej na innem miejscu będzie mowa.

Przejeżdżającemu koleją, Ołomuniec ładnie się przedstawia z swemi gmachami i wieżami; pod sa-

mem miastem widać kolosalny gmach czworoboczny, dawniej sławny klasztor, Hradisko (założony 1078 r.), obecnie szpital wojskowy. Roku 1789 był tam przełożonym seminaryum patryarcha czeskiego piśmiennictwa, Józef Dobrovský, który mimo to, że przez pewien czas nie nadto wierzył w odrodzenie czeskie i który miał powiedzieć owe pamiętne słowa: „Dajcie spokój umarłym", roznosił po sąsiednich wioskach czeskich książki, zachęcając lud do czytania. Tensam to Dobrovský, co miał stosunki z jenerałem ziem podolskich, ks. Adamem Czartoryskim. — Pochowanym jest w Bernie.

V.

(Prowincyonalne miasta morawskie, czeskie i zniemczone. — Od Hulina do Ostrawy Morawskiej. — Wspomnienie o przewiezieniu zwłok czeskiego poety z Polski do Czech. — Ze społeczeństwa na kresach. — Wesoły epizod. — Dobrobyt. — Wielki przemysł i jego wpływ. — Kasy zaliczkowe).

Ani mowy o tem być nie może, abym w skromnych listach niniejszych opisywał z rzędu liczne miasta i miasteczka morawskie. Mógłem to uczynić poniekąd tylko względem Berna i Ołomuńca. Ale poza temi stolicami morawskiemi jest jeszcze cały szereg innych uwagi godnych miast i miasteczek, z których niejedno bardzo przyjemne zwiedzającemu zostawia wspomnienie. A co ważniejsza, są miasta i miasteczka, w których żywioł czeski już jak najstanowczej wziął górę. Taki Prostiejów, Kromieryż, Przerów, Hulin, Holeszów, Uherskie Hradisztie, Zlin, Uherski Brod, Vsetin, Rożnow, Freisztat, Wal. Mezirzicz, Boskowice, Tisznów, Wielka Bystrzyca i t. d., to już *par excellence* czeskie ogniska, w nich swojskość nie kryje się już pod obcym polorem, zrzuciły one

powoli wszystko, albo przynajmniej wiele z tego, co im obce wpływy w przeszłości narzuciły. Nigdy nie wypada sądzić o miastach morawskich według ich stacyj kolejowych. — Niedawno to jeszcze, jak w restauracyi na dworcu kolejowym w Przerowie nawet kelnerzy nie chcieli mówić po czesku, albo i nie umieli, o każde słowo czeskie trzeba było toczyć formalnie małe walki, a przecież miasto Przerów, tuż przy kolei leżące, jest tak czeskiem, jak Bochnia jest polską. Ma ono mieszczaństwo czeskie, inteligencyę czeską, słowem wszystko, co stanowi jednolitość wewnętrznej i zewnętrznej cechy.

I znów dla scharakteryzowania stosunków innych miejscowości sięgam do osobistych wspomnień. Otóż wydaje się niejednemu podróżnemu, że cała ta przestrzeń, począwszy od Hodonina (Göding) aż po Morawską Ostrawę i etnograficzne granice Polski dziwnie zalana jest falami niemczyzny. Jest tak niezawodnie tu i owdzie, lecz i wszędzie warto zobaczyć odwrotną stronę medalu. Właśnie w owej Morawskiej Ostrawie doznałem raz niespodzianki, która wywarła bardzo silne na mnie wrażenie. Było to 1882 roku, gdy ze Zwierzyńca pod Krakowem przewoziliśmy przez Morawę do Pragi zwłoki poety czeskiego Bolesława Jabłońskiego. Pamiętacie może tego czcigodnego kapłana czeskiego, co codzień pod mogiłą Kościuszki odprawiał nabożeństwo i w wolnych od zajęć chwilach próbował pisywać nawet i polskie

poezye. *) Kiedy pociąg ze zwłokami zbliżał się w ciemną i śnieżną noc do Ostrawy Morawskiej, łuna ogromna gorzała nad stacyą. Niespodzianka! Wystaw sobie, na peronie stacyi czekały przy świetle pochodni tłumy czeskiego ludu, ażeby na trumnie ukochanego poety złożyć wieniec. To samo działo się w ową późną i niesłychanie słotną noc także i na innych stacyach morawskich, mianowicie też w Przerowie i Ołomuńcu, gdzie kobiety i młodzież szkolna zapełniała perony.

W takich punktach nie brak czeskiego życia, nie brak motorów, poruszających to życie.

Ale nie zawsze tak jest i nie wszędzie. Są znów miasta i miasteczka, w których żywioł niemiecki z wielką wytrwałością utrzymuje się na wierzchu, gdzie element czeski do dziś dnia odgrywa rolę biednego kopciuszka. Czasami dzieje się to i przez własne niedbalstwo, bo nie wszędzie są jednako-

---

*) W pośmiertnych papierach Bolesława Jabłońskiego znalazłem na Zwierzyńcu cały zbiór jego poezyj, pisanych po p o l s k u. Oto początek jednej z nich:

Grają dzwony na Wawelu,
Grają dzwony w mieście,
Jak się wszystkie rozegrają
Będzie tonów dwieście.

Będzie tyle dźwięcznych tonów
Ile myśli w duszy,
Ile uczuć w mojem sercu
Dziennie się poruszy...

wi zuchowie. Ale tyczy się to przeważnie tylko miast, nie wiosek. Kompletnie niemieckie są: Szumberk, Morawska Trzebowa, Rymarzów w północnych stronach, Mikułów w południowej stronie Morawy. Obok tego jednak są jeszcze miasta i miasteczka, mające większość, a przynajmniej poważną mniejszość czeską, jak Iblawa, Znojmo, Lipnik, Hranice (Weiskirchen), Nowy Jiczyn itd.

Ani się wierzyć nie chce, że na przykład taka Hranice może mieć charakter przeważnie niemiecki. Ale ma. Kto to sprawia? Przeważnie ludzie, którzy dotąd nie przyszli do przekonania, że są koniec końcem Czechami. Są to ślady owego letargu, który spadł na cały naród czeski po bitwie na Białej Górze, ślady czasów, które szczególnie ludność miejską w wielu miejscowościach pozbawiły wszelkiej narodowej świadomości. Agitacya niemiecka w takich zakątkach dotąd ma swoje korzenie, a po za nią stoją zwykle — żydzi.

Lecz nie trzeba sądzić, że w takich zniemczonych częściowo miastach i miasteczkach morawskich do Czechów należą tylko niższe warstwy, jak o tem niedawno gdzieś pisano. Jest inteligencya, czasami i ludzie bardzo majętni W takiej Ostrawie Morawskiej naprzykład wielki, milionowy majątek, zrobił dzielny, szlachetny patryota czeski, ś. p. Vondráczek, poseł i właściciel kopalni. Dał on dzieciom swoim wychowanie czeskie, a wnuczki jego w Pradze, to już Czeszki zupełne, a przytem panie z wychowaniem salonowem. Jedna z nich zajmuje się z szczególnem zamilowa-

niem literaturą polską; w jej bibliotece polska książka nie jest białym drukiem, jest tam Mickiewicz, Krasiński, Słowacki i cała plejada innych.

Z prawdziwą przyjemnością wspominam mój pobyt w takiem L., które dawniej miało charakter bardziej niemiecki. Bywam tam gościem zamożnego przemysłowca czeskiego, którego dom jako rodzinne gniazdo rdzennie czeskie nader sympatycznie się przedstawia. Wieczorki muzykalne, tam urządzane, przypominały przyjęcia w polskich dworach. Było i piękne towarzystwo i dobra muzyka.

Stało się bardzo niedawno, że do takiego domu w zniemczonem częściowo miasteczku morawskiem na kwaterunek przyszli dwaj oficerowie, których pułk w tem mieście stanął właśnie wśród marszu. Przychodzą więc oficerowie i ponieważ pani nie było chwilowo w domu, przedstawiają się — rozumie się po niemiecku — *slecznam* córkom. Ale panie te, dziwnym trafem okoliczności, przepraszają najmocniej, że porozumiać się nie mogą, bo władają tylko językami czeskim i francuskim. Rzecz niebywała. Panie eleganckie — niemówiące po niemiecku! Grzeczność więc nakazała oficerom rozmówić się z paniami po czesku, co im w końcu ani trudności, ani przykrości nie robiło, zwłaszcza że panie były... ładne. Przyjęto oficerów z wielką grzecznością, zapraszano na obiad i herbatę. Gdy potem przed wieczorem odbywała się na rynku starożytnego miasteczka zwykła przy takich sposobnościach *Platzmusik*, naszym paniom towarzy-

szyli oficerowie — nietylko ci dwaj, co tam mieszkali, lecz i pan pułkownik i cały jego sztab. Wobec tego, że pod gołem niebem, wobec całej niemieckiej śmietanki miasteczka toczyła się między oficerami i eleganckiemi paniami rozmowa czeska, wśród Niemców i żydów zapanował niepokój. Gwałtu, co się dzieje! Najciekawszym jednak objawem to, że odrazu odezwali się po czesku ludzie, którzy dawniej niewiele do tego okazywali ochoty.

Darmo, przykład działa. Epizod ten wyda się może mało znaczącym, lecz proszę mi wierzyć, że wielce jest ciekawym i charakterystycznym, jak na stosunki morawskie.

Gościnność na Morawie jest wielką i szczerą. Gość w dom, Bóg w dom. Umieją tam przyjąć gościa z pewną wykwintnością, do czego naturalnie się przyczynia i stosunkowy dostatek.

Niewiem, czy to tylko ja w przejazdach moich przez Morawę byłem tak szczęśliwy, czy też jest to ogólną cechą ludności, lecz nigdy nie znalazłem tam ani śladu chciwości lub chęci wyzyskiwania obcego. Uderzała mnie nieraz poczciwość tych ludzi, nigdy tam nie miałem żadnych nieporozumień. W tym roku zdarzyło mi się w jednem miasteczku morawskiem, że nie chcąc czekać na pociąg, a pragnąc się dostać z jednego miasta do drugiego, starałem się wynająć konie. Lecz w całem miasteczku koni za pieniądze dostać nie mogłem, lecz tylko darmo.

Mówiłem powyżej o stosunkowym dobrobycie na Morawie. Jest prawdą, że i na Morawie, jak

na całym świecie, skarżą się na „ciężkie czasy"; nie jest jak dawniej bywało, na chleb powszedni i tam mozolnie muszą pracować, bieda zagląda do kraju, lecz patrząc na te porządne miasta morawskie i stateczne wioski, widząc miny tych ludzi i humor ich, doznaje się mimowoli przekonania, że tam nie tak źle, aby — nie mogło być gorzej... Są naturalnie różnice: są okolice bogate bardzo i są znów biedniejsze. Że szczególnie w okolicach kopalni węgla i hut oraz w górach lud nie ma się jak najlepiej, zbytecznem zosobna podnosić.

Trzeba przyznać, że i wielki przemysł, znajdujący się przeważnie w rękach niemieckich, niemało się przyczynia do stosunkowego dobrobytu ogółu. Koło takiego Bogumina naprzykład masz komin przy kominie. Ale ten względnie łatwiejszy zarobek drogo musi płacić czasami lud miejscowy, gdyż chlebodawcy w przypadkach zanadto częstych są równocześnie zaciętymi germanizatorami i bardzo nieprzychylnie patrzą na wszystko, co czeskie.

Zajechałem w tym roku również do Bystrzycy pod pamiętnym Hostynem w celu odwiedzenia poety czeskiego Franciszka Taborskiego. Rodzinnem jego miejscem jest niewielkie, lecz sympatyczne i porządne miasteczko morawskie, wyłącznie czeskie. Ale jest w mieście olbrzymia fabryka głośnej w Europie firmy Thonet (wyrób mebli wszelkiego rodzaju z giętego drzewa), której niezmiernie interesujące zwiedzenie zabiera kilka go-

dzin czasu. Fabryka ta daje rzeczywiście przeszło 1.000 ludziom z miasteczka i okolicy nie zły zarobek; całe urządzenie tej fabryki i ruch w niej czyni wrażenie imponujące, lecz z biura dyrekcyi fabryki niejedno przewiewa, co niewłaściwem jest dla miasteczka i miejscowości kompletnie czeskiej. Gdzieindziej jeszcze gorzej, bo dyrektorowie i urzędnicy wpływają nieraz sposobami bardzo mało moralnymi na robotników swoich, ażeby dzieci posyłali do szkół niemieckich.

Ogólnie jednak biorąc, raz jeszcze podnieść muszę, że miasta morawskie po większej części bardzo są porządne. Uderzają mianowicie szkoły gminne, podobne nieraz do wspaniałych pałaców. W ostatnich czasach rozbudzony ruch narodowy prowadzi też miasta niektóre do kompletnej emancypacyi. Słowem, Morawianie się organizują. Znaczne w tym względzie usługi oddają sprawie rozmaite Towarzystwa akcyjne, mianowicie liczne *Zálożny* (kasy zaliczkowe), które, będąc w rękach czeskich, znakomicie działają. W roku 1892 było na Morawie 97 czeskich kas zaliczkowych z poręką nieograniczoną, 160 z poręką ograniczoną i 4 kasy inne, więc razem 261 kas czeskich na Morawie. Z tych 186 kas zaliczkowych rozporządzało w r. 1892 kapitałem 64,890.993 złr. Dołączając do tego resztę kas, których sprawozdania się spóźniły, liczyć można kapitał powyższy na sto milionów złr. A to są tylko pieniądze kas czeskich.

VI.

(Wioska morawska. — Z gastronomii. — Wystawy etnograficzne. — W Holeszowie. — Morawska pieśń ludowa i podobieństwo jej do pieśni polskiej. — Ornamentyka morawska. — Wyszywania ludowe. — Wspomnienie o rolniku Skopaliku. — Zakończenie).

Z przebiegu moich poufnych i bezpretensyonalnych opowiadań morawskich można już było wyczytać pomiędzy wierszami, że mam szczególne poważanie dla morawskiej prowincyi, zwłaszcza dla morawskich wiosek. Bo istotnie warta morawska wioska pochwały. Niema, prawda, w tych wioskach dworów szlacheckich, tylko tu i owdzie znajdują się rezydencye letnie, wspaniałe pałace i zamki możnych panów (po za progami których może jeszcze mniej narodowej świadomości, jak w Czechach), lecz są dwory chłopskie, powiedzmy po czesku gospodarstwa czyli *statki selskie*, przed któremi nieraz tak samo uchylisz czapki, jak przed szlacheckim dworem.

Nie mówię tylko o takich wioskach, które do dziś dnia nietknięte zostały przez prądy nowożytnej cywilizacyi, lecz i o takich, gdzie na ze-

wnątrz już mało można robić studyów etnograficznych. Zdarza się na Morawach, że przejeżdżając przez takie wioski, mimowoli się pytasz, czy to nie są chyba miasteczka? Miejsce chat zajęły kamienice i życie w nich nie jest wcale idylicznie wiejskie, przynajmniej pod pewnemi względami.

Raz jechałem raniutko bardzo, prawie o wschodzie słońca końmi do Ołomuńca. Na prawo i na lewo białego, jak stół równego gościńca, rosło na ogromnych przestrzeniach złote zboże i w niem roił się jak mak lud pracujący. Pstro było od kobiecych chustek. Koło godziny 10 przyjechaliśmy z bardzo dobrym apetytem do wioski Ujezd. Pytam się więc woźnicy, czy w miejscowej *hospodzie* będzie można co zjeść. A jakże! Tedy kazaliśmy zatrzymać konie przed karczmą i wysiedliśmy. W gospodzie było idealnie czysto. Na podłogach biały piasek, na stole w rogu izby biały jak śnieg obrus. Siadamy. Przychodzi dziewczyna jak malina. Podobałaby się nawet, choćby nie była tak ładna, bo czysto i gustownie była ubrana. „Pěkně vitáme! Może panowie życzą sobie śniadania mięsnego?“ — A jakże! — „Jest wieprzowa, jest cielęca, może być też befsztyk i sznycel.“ Więc w gospodzie wiejskiej na śniadanie aż cztery jedzenia. — „Prosim pěkně!“

Za minut kilka przyniosła dziewczyna pieczeń wieprzową, kawałek taki ładny, tak smaczny, taki dobry, że do dziś dnia poczucie uznania zmusza mnie przyznać, że żadna wielkomiejska restauracya nie powstydziłaby się za nią. Darujcie memu

zapałowi. — „A każe pan przynieść piwa lub wina?“ — Pěkně prosim! — Gdy mnie potem dziewczyna przyniosła jeszcze najświeższe gazety, praskie *Narodni Listy*, ołomuński *Nasiniec* i pismo jakieś berneńskie, to doprawdy miałem ochotę spytać, czy w tej w i o s c e niema przypadkiem też filii Bodegi, ażeby wychylić na cześć i pomyślność takich wiosek kieliszek wina hiszpańskiego. Ponieważ jednak Bodegi nie było, uczyniliśmy tak ze szklanką piwa, o którem nawiasem nadmieniam, że nie pogardziłbym niem nawet w samej Pradze.

Urwawszy sobie — za pozwoleniem gospodyni — z bukiecika, znajdującego się w wazonie na stole, różę na pamiątkę, jechaliśmy dalej.

Wobec takich stosunków, nie trzeba być bohaterem, ażeby włóczyć się po prowincyi morawskiej z przyjemnością. Dla ostrożności powiedzieć naturalnie muszę, że niewszędzie i niezawsze jest tak, lecz dosyć i tego, że pomiędzy wioskami morawskiemi są i takie!

Ale nie chcę poprzestać na wykładach gastronomicznych, którego to fachu zresztą kochani moi Polacy nigdy zbytnimi wrogami nie byli, jak w rozmaitych stronach Polski przed i za kordonem bez różnicy miałem honor osobiście się przekonać. Inne mamy jeszcze rzeczy do omówienia. W ciągu ostatnich dwóch lat szczególna była sposobność z łatwością poznać się z wszelkiemi podstawami tego kraju, dzięki tak zwanym wystawom etnograficznym, które urządzano w rozmai-

tych miasteczkach, a nawet i wioskach morawskich staraniem osobnych komitetów. Mówię ja o nich na tem miejscu, ponieważ treść tych wystaw w nierozłącznym była związku z morawską wsią. Wystawy te były i są niby próbą sił wobec projektowanej wielkiej wystawy etnograficznej czeskiej, która do skutku ma przyjść w Pradze i przedstawić ma cały lud czeski ze wszystkich stron jego indywidualności. Pisałem o tem już gdzieindziej. Gdyby projektowana wystawa praska innego nie miała rezultatu, jak właśnie owe przedwstępne małe wystawy morawskie, już wtedy myśl ta zasłużyłaby na uznanie, które należy się inicyatywie F. A. Szuberta, dyrektora „Narodniho divadla" w Pradze. Małych wystaw urządzono dotąd kilkanaście, mianowicie w miastach: Boskowicach, Hodoninie, Vsetinie, Wyszkowie, Holeszowie, Kojetinie, Przerowie, Frensztacie, Olesznicach, Tisznowie, Drzewohosticach; w wioskach: Przykazy, Naklo, Bielkowice, Krzelow, Ohnice i t. d.

Odwiedziłem jednę z tych wystaw, mianowicie w Holeszowie. Prawdziwa to przyjemność! Już jazda do miasteczka przedstawiała coś nadzwyczaj przyjemnego. Aż się żal robiło, że konie pędziły i że śliczny krajobraz prędko mijał z przed oczu. Chciałoby się patrzeć i patrzeć na te bogate równiny, na te czarne, zdrowe lasy, na te piękne czyste wioski, na te wzgórza, na te dalekie przestrzenie, gdzie co krok widzisz ślady znacznej kultury i wielkiej pracowitości. Nie są to Tatry majestatyczne i dzikie, nie równiny podolskie, ale

wszystko tam takie, że nie zatęsknisz po innych pięknościach!

Więc jesteśmy w Holeszowie na wystawie. Mieściła się ona w salach i pokojach w dwupiętrowym pałacu miejscowej szkoły. Już sam gmach ten imponuje. Naokoło gmachu piękny ogród. Wszystko białe, wszystko czyste, urządzenie najbardziej postępowe. Lecz wejdźmy!

— Pěkně vitame! — Witają nas przy kasie barczyści ludzie, po których twarzach odrazu zgadniesz, że to nie panowie komitetowi tego rodzaju, jacy koniecznie muszą być we wszystkich komitetach dla osobistej jakiejś zabawki. Podają ręce — a ręce to twarde od pracy. Ubrani są czarno, z małemi czerwono-białemi oznakami na piersiach. Zaraz na wstępie doręczają ładną książeczkę: *Upominka na národopisnoů a průmyslovoů výstavů v Holešově* 1893. Zawiera ona patryotyczne wezwanie „do rodaków,“ opis ubiorów ludowych z okolicy, pronostykę ludową (gospodarską), dzieje Holeszowa (przez Ed. Pecka) i spis wszystkich wystawców.

Spytacie, co wystawili Holeszowianie na swej wystawie? Powiem krótko: wszystko, co tylko mogli i znaleźli, a co ważniejsza, z pewną krytyką, ze smakiem, nawet z pewną znajomością fachową. Widać, że komitet nie bawił się tylko w wstążki, a przedewszystkiem, że pracował. Musiała krzątać się ta niemała garstka ludzi dobrej woli.

Jedna obszerna sala zawierała na sposób jubileuszowej wystawy pragskiej dział retrospekty-

wny, to jest starożytności wszelkiego rodzaju: stare, artystycznie wykonane meble, zegary, zbroje, malowidła, stare druki i t. d. Widać, że w domach miejscowych patrycyuszów i za progami „selskich statków“ przechowuje się niejedna piękna rzecz.

W innej sali tryumfowała sztuka ludowa, ubiory ludowe, pyszne wyszywania, kraszanki i t. d., o czem poniżej zosobna zrobię wzmiankę.

Dalej przedstawiony był współczesny przemysł miejscowy, mianowicie liczne wyroby z drzewa i metalu, przemysł chemiczny, skórzany, kamienny, rzemiosła, budownictwo i t. d. Osobny oddział w końcu poświęcony był szkolnictwu.

Słowem, było na co patrzeć, było czem się cieszyć i z czego czerpać niewątpliwe przekonanie, że ruchliwość przemysłowa i umiejętność ludności miejscowej przedstawia się nieośledniо. Mile też robiło wrażenie, że mimo powszedniego dnia lud przychodził oglądać dorobki cywilizacyi swego kraju. Cóż dopiero w niedziele i święta; to już na dobre cała okolica sypała się na wystawę, tem bardziej, że komitety urządzały rozmaite uroczystości ludowe.

Obejrzawszy wszystko jak najdokładniej i otrzymawszy wszędzie jak najgrzeczniejsze objaśnienia, udaliśmy się do bufetu. Ale nie bójcie się, już nie będę mówił o gastronomii.

W bufecie przy kilku stolikach siedziała garść ludzi, przeważnie gospodarzy z okolicy i kilku wystawców. Znali się nawzajem wszyscy i tytułowali

„pan". Bardzo słusznie. Rozmowa była ożywiona, ogólna, od stołu do stołu, temat jej był poważny, odnoszący się do praktycznych stron życia, chociaż nie zabrakło też tu i owdzie dowcipu bardzo dobrego, zdrowego humoru. Naprzód gadano grzeczności uwijającej się między nami ładnej „slecznie" ubranej w nadzwyczaj powabny ubiór walaski. Potem przeszliśmy na temat ogólnych stosunków krajowych. Cieszyli się Morawiacy, żem pochwalił ich okolice, zgadzali się zasadniczo z moimi poglądami i w końcu zastanawialiśmy się także nad ujemnemi stronami ludności. W tym względzie tylko jedno uważam za potrzebne podnieść. Otóż są na Morawie niektóre okolice, w których alkohol, t. j. wódka, dotąd szkodliwie działa. Tyczy się to głównie okolic słowackich i górskich. Ale jest nadzieja, że i w tym względzie oświata, coraz głębiej przenikająca, zbawiennie zaradzi.

Nie mogło być zadaniem moich kilku listów szczegółowo opisać kraj i lud, chodziło mi tylko o pewne, lekko rzucone rysy ogólne; kto jednak pragnie specyalnie zapoznać się z ludem morawskim, jego charakterem i zdolnościami, jego obyczajami, obrzędami, pieśniami i t. d., temu najusilniej polecam, oprócz innych źródeł, liczne prace ludoznawcze wspomnionego już poprzednio badacza Franciszka Bartosza, oraz Jana Herbena, redaktora czeskiego tygodnika *Čas*, który, pochodząc z morawskich stron, w licznych obrazkach opisał z werwą swoich najbliższych rodaków.

Mimo to pozwolę sobie tutaj dotknąć choć kilku słowami morawskiej pieśni, morawskiej ornamentyki ludowej i wyszywań ludowych.

Co do pieśni morawskich, to pierwszy ich wielki zbiór wydał Franciszek Suszył jeszcze 1835 roku. Drugie wydanie tego zbioru zawiera 1320 pieśni. Inny zbiór morawskich pieśni — niby dopełnienie poprzedniego — wydał w latach 1888—1890 Franciszek Bartosz; zawiera również pokaźną liczbę 1017 pieśni. — Już Bronisław Grabowski w warszawskiej *Wiśle* (1890) referując o pieśniach, zebranych przez zasłużonego Bartosza, podnosił, że muza ludowa morawska bliżej jest spokrewniona z polską, aniżeli z jej siostrzycą czeską. Pieśni morawskie mają w sobie wiele wdzięku i przyrodzonej poezyi. Co do podobieństwa z pieśniami polskiemi, niech służy następujący przykład uderzający. Otóż Morawiak sobie śpiewa:

Prylećeła właszto weczka (jaskółka)
Przez ten czerny les.
A co mi ty, właszto wienko
Noweho niesesz?

Nesu ja ći nowineczku,
Ale nie dobru,
Że uż twoju nejmilejszy
Ke slubu wedu.

Jeden stoji pod okenkem
Szateczkem toczi (chustką powiewa),
Druhy stoji za dwerzami
Ućira oczi.

Jeden si ju zamiłował,
Druhy si ju wzał
Jednemu śe srdce kraje,
Że ji nedostał.

Wszak to brzmi prawie całkiem po polsku! Dziwna rzecz, że dotąd nikt się nie zabrał do wyczerpującego studyum porównawczego pieśni ludowych polskich, morawskich, czeskich i słowackich. Co to u nas brzmi nut, przypominających krakowiaki i inne wasze śpiewy ludowe.

Co się tyczy melodyj tych pieśni, nie będąc muzykiem, nic innego nie mogę powiedzieć, jak że mają ogromną siłę wzruszającą. Wychodzą one z głębi dusz i przemawiają do głębi. Każdy porządny śpiewak może niemi na koncertach robić furorę i nie wątpię, że echa tej morawskiej pieśni w jakiejś narodowej operze drugiego Smetany prędzej czy później zdobędą sobie miejsce. Nie może krynica ta bogata nie zostać wyzyskaną.

O pojęciach estetycznych ludu morawskiego najkorzystniej przemawiają ozdobne jaja wielkanocne czyli pisanki i kraslice. Madlenka Wanklowa wraz z ojcem swoim wydała o pisankach morawskich osobną publikacyę: *Morawské ornamenty* (Ołomuniec 1888), gdzie słusznie zaznaczono, że orna-

menty na kraslicach, a zapewne też i wyszywania ludowe nie są produktem twórczości jednostek, lecz własnością całego rozwijającego się narodu. Ornamenty te rzucają jasne światło na dawny stopień cywilizacyi narodu, bo czem piękniejszy i różnorodniejszy ornament, tem wyższy stopień wykształcenia. Przytem dochodzi Dr Wankel do takich rezultatów swoich badań archeologicznych nad ornamentami: 1) Zachodni i południowi Słowianie już dawno przed narodzeniem Chrystusa (to jest w tak zwanym peryodzie hallsztackim), mieszkali we wschodniej części środkowej Europy. 2) Słowianie ci posiadali już wtedy wysoką kulturę i trzeba się zgodzić z Hochsteterem, „że technika metalowych wyrobów, pochodzących z epoki hallsztackiej, była wogóle wspólną własnością wszystkich ówczesnych narodów środkowej Europy.“

Ale największą uwagę zwracają na siebie niewątpliwie ludowe wyszywania morawskie, stanowiące harmonijną całość z pysznemi wyszywaniami ludu czeskiego i słowackiego. Nasze patryotyczne panie, oceniwszy rzecz należycie, już od lat paru gorliwiwie zajmują się rozpowszechnieniem tych istotnych arcydzieł naszej sztuki ludowej. Z publikacyj dotyczących wspominam tylko: Berta Sojkowa *Vzory wyšiwáni lidu slowanského na Morawie* (Ołomuniec 1889), Co za wspaniałe ornamenty, co za pracowitość! Charakter wyszywań morawskich jest przeważnie roślinny, dobór zaś kolorów taki: czerwony i błękitny, na białem tle; czerwony, błękitny i żółty; wyłącznie

żółty. Trafiają się też wyszycia w pięciu kolorach: zielonym, czerwonym, żółtym, jasno-błękitnym i ciemno-błękitnym. Tło białe, lub czarne. Jakież to śliczne, wytworne fartuchy, rozmaite hafty, koronki, plecionki i t. d.

Ale to trzeba oglądać i podziwiać; poszanowanie dla pracowitości i umiejętności wiejskich naszych niewiast samo przychodzi. Nie dziw też, że nasze panie, skoro mają do dyspozycyi takie piękne rzeczy, lubią się przy sposobności rozmaitych uroczystości ubierać w ubiory ludowe. Jak dziewczyna młoda, to i bardzo ładnie w tem wygląda. Wszak nie zrobi mi nikt zarzutu, że przechwaliłem nasze wyszywania, jeżeli powiem, że panie nasze za nie dostały na wielkich wystawach w Paryżu, Glasgowie i Chicago dyplomy najwyższego uznania.

Lecz zgrzeszyłbym bardzo, gdybym, mówiąc o wiosce morawskiej, pominął milczeniem najpopularniejszą postać „selską“ tamtych stron. Mam na myśli istotnie sławnego Franciszka Skopalika, którego nazwisko znane wam jest może z wiedeńskiego parlamentu. Skopalik, prawda, umarł dwa, czy trzy lata temu, ale życie ludzi tego rodzaju trwa dłużej. O Skopaliku wiedzą wszyscy na Morawie; ma on i znaczny rozgłos pośmiertny i gniazdeczko jego rodzinne ogólnie uważane jest jako „wzorowa gmina.“ A to dużo znaczy na Morawie. Pamiętam tę typową postać z dni wspaniałej uroczystości położenia kamienia węgielnego „Divadla narodniho“ w Pradze. Wtedy

i on przyjechał do „maticzki Prahy," a my wszyscy patrzeliśmy nań, jak na człowieka nadzwyczajnego.

Skopalik był niezawodnie człowiekiem nadzwyczajnym: „sedlak", który sobie zasłużył na szczere uznanie najszerszych kół swego społeczeństwa. Zawsze i w Wiedniu występował tylko w ubiorze hanackim, nie zrzekając się nigdy swego pochodzenia. Idealny to był przedstawiciel wsi. Urodził się on 18 czerwca 1822 w małej wiosce Zahlinicach, która do tej chwili nie więcej liczy jak 57 domów i 348 mieszkańców. Jako chłopskie dziecko pobierał nauki tylko w szkołach wiejskich, lecz w późniejszym wieku nieustannie poduczał się, i to do tego stopnia, że mógł być poważnie czynnym w literaturze. Już jako chłopak robił sobie zapiski, prowadził dziennik gospodarski i w końcu zbierał materyały do „Pamięci gminy Záhlinic", które też przy końcu życia jego wyszły drukiem. Wcześnie wystąpił przeciw alkoholowi i był w tym względzie w okolicy reformatorem bardzo energicznym. Dalej on pierwszy w rodzinnej swej gminie doprowadził do skutku „skomasowanie gruntów" (1858), zarządzenie tyle ważne dla gospodarzy wiejskich. Jednocześnie starał się o oświatę rodaków przez rozszerzanie książek. Liczne swe prace zamieszczał w pismach gospodarskich, także w *Poslu z Prahy,* wydawanym przez Fr. Šimačka, w kalendarzach ludowych i t d. Za zbieranie źródeł historycznych mianowała go Sekcya

historyczno-statystyczna w Bernie 1858 r. swoim członkiem; namiestnik hr. Lażansky obdarzył go nadzwyczajnem zaufaniem, zapraszając do rozmaitych komisyj. R. 1860 stał się Skopalik starostą swej rodzinnej gminy, r. 1861 wybrany został do sejmu i później do Rady państwa. Założył on w Záhlinicach rolniczą „jednotę“ i bogatą szkołę gospodarską. W r. 1870 obdarzył go Papież orderem św. Sylwestra. Wyborna literatka, Karolina Swietla, dedykowała mu w dowód szczególnego szacunku swoje znane opowiadanie *Na bludne cestie.* Słowem mała wioska morawska pod Hulinem wydała człowieka, przed którym wielu ludzi uchylało kapelusz. A Zahlinice? Do wioski wjeżdża się przez długi szereg murowanych stodół, potem idzie domek za domkiem, są i jednopiętrowe, dom gminy, plebania i szkoła. Wszystko jest białe i ładne. Kościółek uśmiecha się. Są tam piękne aleje, ulica ma miejskie chodniki i bruk. A koło kościółka prawdziwy, miły, świerkowy park!

Czegóż chcieć więcej ?

Otóż jestem tymczasem gotów z pisaniną niniejszych listów morawskich. Prawda, wypadałoby i chciałoby się nawet powiedzieć jeszcze coś o takim Welehradzie, o takim Rożnowie, któremu też niejeden Polak zawdzięcza poratowanie zdrowia, o takich słynnych morawskich jaskiniach jak Macocha, o takich wspaniałych świadkach bohaterskich czasów morawskich, jak zamek Perusztyn, o takich potężnych ruinach jak Helfsztyn; miałoby się ochotę wreszcie przeskoczyć przez granice kra-

jowe do Czech — lecz to wszystko zostawiam do innej sposobności.

Tymczasem dziękuję wam za gościnność, jakiej użyczyliście skromnym listom morawskim. Pisałem je z tego samego punktu zapatrywania, jak „Listy o społeczeństwie czeskiem", gdzie stanowisko swoje bliżej określiłem. To samo zresztą stanowisko staram się zachowywać, pisząc też moim rodakom o waszych stronach.

Jeżeli zasada „poznajmy się" skłoni kiedyś czytelnika do oglądania sympatycznych stron morawskich i ich dobrego ludu, to życzę mu z góry, ażeby tak był szczęśliwy w swoich spotkaniach i wycieczkach, jak ja. W takim razie mam nadzieję, iż poglądy nasze zasadniczo zgadzać się będą całkowicie. Więc przedewszystkiem: Poznajmy się!